

Zwykła przepustka do historii

Maciej Rosalak

„Stocznicy chcą tylko kielbasy i nic więcej ich nie obchodzi!” – dowodził partyjny dziennikarz. Gdzie to usłyszał? Na egzekutywie? Od towarzysza z bezpieki?

Strajku w Gdańsku dowiedziałem się w sierpniu 1980 roku z Głosu Ameryki. Mówiono o żądaniach podwyższenia płac i utworzenia wolnych związków zawodowych. Padało nazwisko przywódcy: „Walesa”. W krajowej telewizji zaczęto wspominać o „niezasadnionych przerwach w pracy”. Oficjalnie. Nieoficjalnie rozpuszczano wieści o „robotach”, którym się „we łbie przewraca” od rzekomo niebotycznych zarobków. A w redakcji „Tygodnika Demokratycznego” – pisma Stronnictwa Demokratycznego – naczelny przed urlopem zapowiedział, że mamy publikować teksty o koledze przewodniczącym SD i nic innego nie powinno nas obchodzić.

Rankiem 27 sierpnia podpisywałem do druku kolejny numer pisma. Błędów nie znalazłem, ale do czytania też nic interesującego nie było. Nic, czym zainteresowałby się ktokolwiek poza kolegą przewodniczącym stronnictwa „drzących”, jak mówiono o SD. Pomyślałem o beznadziei tej pracy i o tym, że w Gdańsku może właśnie teraz dzieje się prawdziwa historia; o pogłębiającej się degrengoladzie, czego dowodem były nawet wylczanki w przedszkolach: „Nie ma szynki, nie ma serka./ Powiesimy wujcia Gierka./ Raz, dwa, trzy, sekretarzem będziesz ty!”. I o swoich skończonych trzydziestu latach też pomyślałem.

Wieczorem tego dnia dotarłem do bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej, wówczas

imienia Lenina, i zobaczyłem drewniany krzyż, pod którym paliły się dziesiątki zniczy i świec. Krzyż był otoczony modlącymi się ludźmi. „Tu zabito w siedemdziesiątym roku pierwszego stoczniewca. Jego koledzy ustawili krzyż i wrócili do stoczni. Od tej pory nie ruszają się na zewnątrz” – objaśnił kolega z bratniego „Kuriera Polskiego”. Był tu już od kilku dni, codziennie wysyłał z faksów i telefonów miejscowej siedziby SD (zwykle połączenia przerywano) korespondencje i błagał redakcję o druk. Bezskutecznie – wydział prasy KC PZPR i cenzura postawiły kategorię szlaban.

No i stoję przed tym krzyżem. Wreszcie dojrzałem przyspiloną do krzyża kartkę, na której ktoś zapisał strofy Byrona: „Walka o wolność gdy się raz zaczyna/ Dziedzictwem z ojca przechodzi na syna/ Sto razy obcą złamana potęgą/ W końcu zwycięży”.

A, to o to chodzi... – pomyślałem. Ziemia się zatrzęsła pode mną i od tej pory – wedle znanego powiedzenia Hitchcocka – napięcie zaczęło stopniowo rosnać.

Do Gdańska dostałem się redakcyjnym samochodem. Było to efektem krótkiej rozmowy z zastępującym naczelnego, przeznaczym i mądrym Krzysztofem Boruniem: „Patrz, Krzysiu, jakie my tu g... wydajemy. Daj samochód i podpisz delegację do Gdańska”.

Natychmiast podpisał. Jakby tylko na mnie czekał. Jakby nadeszła Godzina „W”, a on znów znalazł się w załodze „Kubusia” podczas ataku Powstańców Warszawskich na uniwersytet...

Następnego ranka – 28 sierpnia – przeszedłem przez wartownię obok słynnej bramy, która tonęła w kwiatkach okalających portret Jana Pawła II i pod którą zbierały się w ciągu dnia setki, tysiące, a w końcu dziesiątki tysięcy mieszkańców Trójmiasta. Przepustkę otrzymałem bez problemu, w przeciwieństwie do ekip „Trybuny Ludu” i TVP, których nie wpuszczono, „bo kłamią”. Przepustka to był wąski skrawek papieru, na którym wypisano ręcznie moje nazwisko oraz tytuł tygodnika i który podstemplowano pieczęcią Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, wyciętą chyba z kartofla. Po miesiącu podpisał ją Lech Wałęsa, którego poprosiłem o to na jego pierwszej w Warszawie konferencji prasowej.

To było najbardziej niepozorne świadectwo akredytacji – wyjątkowo chałupniczo wykonana przepustka – jakie otrzymałem w karierze dziennikarskiej. A jednocześnie chyba każdy, kto ten dokument otrzymał, przeczuwał, że trzyma w ręku niezwykłą, choć tak zwyczajną przepustkę do historii.

Był to zarazem glejt całkowitego bezpieczeństwa, gwarantujący pomoc, życzliwość i serdeczność prostych ludzi. Tych „robotów”, którym rzekomo zależało tylko na kielbasie i rozróbie, poznałem później bliżej, zwłaszcza podczas długiej przerwy w negocjacjach. Nieśmiało pytali, czy mogą obejrzeć zdjęcia ze stoczni, byli ciekawi, jak oceniamy szanse ich protestu, częstowali wielkimi pajdami chleba przywożonego z trójmiejskich piekarni i krojonego dłońmi swych kobiet. Młody robotnik oprowadzał nas też po stoczni, skrupulatnie ostrzegając w rejonach z zakazem fotografowania.

„Który skrzywdził człowieka prostego...” – dedykował stoczniovcóm parę miesięcy potem owe słowa noblista Czesław Miłosz. Do tej pory zdołają one mur obok sławnej bramy. Kiedy je czytam, zawsze przypominam sobie moich rozmówców w granatowych, wymiętych i spłowiałych kombinezonach ze skweru przed halą BHP.

Akurat 28 sierpnia odbyły się najważniejsze rozmowy z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim. Wszedł wraz

GDAŃSKA
im. LENINA

z towarzyszami do stoczni boczną bramą, kroczył obok ubranego w szary garniturek Wałęsy, w obstawie rosłych stoczniowców, w szpalerze poważnych ludzi nieokazujących ani wrogości, ani entuzjazmu. Mogłem zaglądać do salki, gdzie toczyły się negocjacje, ale wolałem stać wraz z innymi na wolnym powietrzu, słuchać każdego słowa z megafonu i dzielić odczucia strajkujących. Pilnie słuchali i nagradzali oklaskami celne wypowiedzi. Pamiętam zwłaszcza Andrzeja Gwiazdę, mówiącego o wolnych związkach, i Annę Walentynowicz, przypominającą nie tylko swoje krzywdy. Z Jagielskim ludzie wiąźali ostrożne nadzieje.

Po odjeździe delegacji rządzących Wałęsa wdrapał się na wysięgnik dźwigu przy bramie i przez ręczny megafon zdał krótką relację. Przed nim – sto tysięcy mieszkańców Trójmiasta. Za nim – kilka tysięcy stoczniowców. A on w tym swoim niepowtarzalnym stylu, który nikogo wówczas nie raził, zapowiadał zwycięstwo. Z chłopą król, prawdziwy trybun ludowy. Tak to wtedy wyglądało.

To był wóz albo przewóz. Kiedy wszystko powiedziano z obu stron, tylko wypadło czekać, jaka decyzja zapadnie w Warszawie. Zgodzą się czy nie zgodzą na wolne związki, na ów pierwszy punkt, który miał zapalić w Polsce światełko demokracji. W ciągu następnych szesnastu miesięcy rozpalilo się ono w potężny płomień niebywałego entuzjazmu, nadziei i solidarności ogarniającej polską wspólnotę.

„Urodzony w niewoli, okuty w powiciu/ Ja tylko jeden taki sierpień miałem w życiu” – trawestowano później Mickiewicza. Kto tego nie przeżył, temu trudno pojąć, jak wielki potencjał tkwi w naszym narodzie, jak potrafi być on

skłonny do wyrzeczeń i ofiar w imię wspólnego dobra, jak potrafi być wielki po prostu.

„Kaźda niech Polska będzie wielka/ Synom jej ducha czy jej ciała/ Daj wielkość serc, gdy będzie wielka,/ I wielkość serc, gdy będzie mała”. Fragmenty *Kwiatów polskich* Juliana Tuwima recytowali po południu aktorzy Teatru Wybrzeże, którzy przyjechali pod prze-

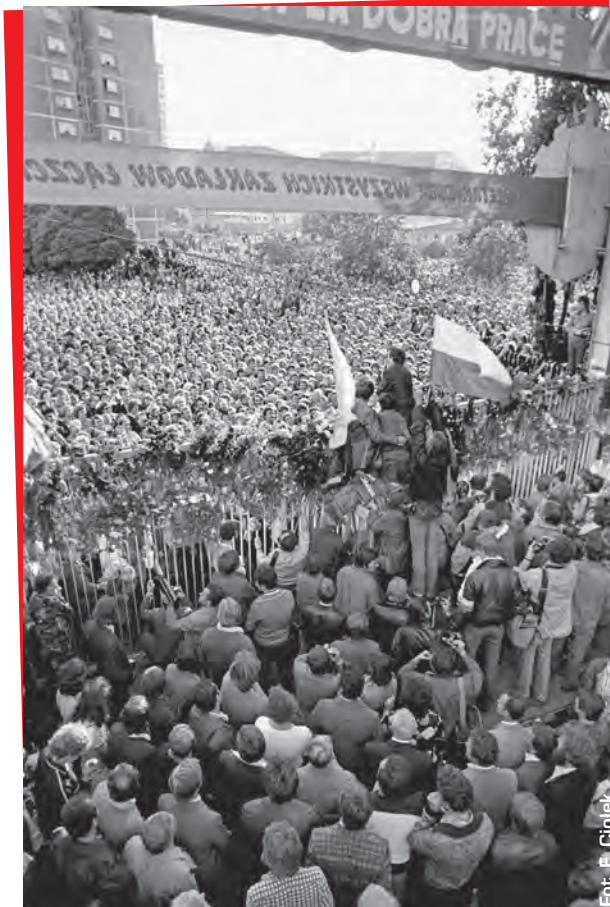
fikację z Ojczyzną, a nie dekorację dętych manifestacji. Nastrój – jak mówili starsi – przypominał pierwsze godziny Powstania Warszawskiego. A kiedy po Mszy św. zaśpiewano „Jeszcze Polska...”, łzy płynęły po niejednej twarzy.

Tak rodziła się nowa epoka w dziejach Polski. Tym, co zapomnieli – warto przypomnieć, tym, co nie słyszeli – powiedzieć, jak było. „Opowiemy Ci o tych wypadkach [...] O tych ludziach, którzy poczuli,/ Że są wreszcie teraz u siebie/ Solidarnie walczą o dzisiaj/ I o jutro także dla Ciebie” – kiedy wracałem do Warszawy późnym wieczorem 28 sierpnia, brzmiała mi w uszach skomponowana w stoczni *Piosenka dla córki*. Moja córeczka miała wtedy cztery lata i nie zdążyłem się z nią pożegnać przed wyjazdem do Gdańska.

Kiedy wychodziłem przez bramę nr 2, młody chłopak ze stoczni położył mi na pożegnanie rękę na ramieniu. „Niech pan napisze, co pan tu widział i słyszał, o nic innego nam nie chodzi” – powiedział cicho. Ludzie z miasta otoczyli mnie i ścisnęli dłonie, dziękowali. „Za co?” – broniłem się. „Jestem tylko dziennikarzem, byłem tam gościem”. „Ale był pan TAM, wśród NICH. Może pan jeszcze wnułkom opowiadać!”

Od czasu do czasu staram się opowiadać. Czy dziś, kiedy siódmy krzyżyk mam na karku, do końca udaje mi się uniknąć późniejszych naleciałości, strzępów cudzych świadectw i opinii, a nade wszystko „potępieńczych swarów” – nie wiem. Rzecz jasna, wszystko w historii należy dokumentnie wyjaśnić – niezależnie od tego, czy ocaleje czyjś mit i legenda. Ale nie piszę tu historii jako historyk. Piszę historię tego, co naprawdę widziałem i czułem 28 sierpnia 1980 roku. I co chciałbym ocalić. ❄

Maciej Rosalak – redaktor dodatków historycznych „Rzeczpospolitej”; w sierpniu 1980 roku był sekretarzem redakcji „Tygodnika Demokratycznego”



➤ 31 sierpnia 1980 roku: Lech Wałęsa ogłasza zgromadzonym pod bramą Stoczni Gdańskiej mieszkańcom Trójmiasta zakończenie strajku

wodem kierownika artystycznego Macieja Prusa. Deklamacje, jak wcześniej rozmowy, były nadawane z sali BHP przez głośniki na całą stocznę. Doskonale słyszeli je też zgromadzeni przed bramą gdańszczanie, a stamtąd rozchodziły się na całą Polskę i – dalej – na cały świat. A słowa, tyle razy nadużywane i bezczeszczone, odzyskiwały swe prawdziwe znaczenie. Biało-czerwone barwy na opaskach i sztandarach strajkujących oznaczały rzeczywistą identy-